

WOJCIECH HERGEMON

MAGISTERIUM GRZYBOWSKIEGO

<3 <3 <3 <3 <3 <3 <3 <3 <3 <3 <3 <3

- Z RECENZJI JKM KAROLINY XVI

SIEMIANOWICE, 2012

WYDAWNICTWO KUMAKKULTURY 

WYDANIE 2, DRUK: 2013, SIEMIANOWICE

5 kwietnia 2012

Prometeusz Grzybowski, dla przyjaciół „Grzybek”, siedział z posepną miną w swoim obskurnym akademikowym pokoju. Zgromadzeni bali się spytać co znowu wymyślił jego promotor, profesor Bombina – wszyscy wiedzieli, że nie był on zbyt skłonny do negocjacji ze studentami.

Mózg Grzybka pracował na najwyższych obrotach, wielokrotnie odtwarzał od przodu do tyłu i wicwersacze przebieg rozmowy z profesorem. Kurwa, czemu znowu wszystko musiało się spierdolić, mimo że wchodząc do kanciapy gotowy był na wszystko, a na każde pytanie miał gotową, niemalże perfekcyjną odpowiedź.

Nie zaskoczyło go to, że tuż zza uchylonych drzwi ulatniał się odór jakiejś dziwacznej wódki, zapewne pędzonej przez studentów farmacji, nie robiło na nim również wrażenia, że w ciasnej kanciapie Bombiny, oprócz samego Bombiny i wiadra gromadzącego kapiącą z sufitu deszczówkę, siedział dziekan Manescu, paru egzotycznych profesorów z WzDWK oraz jakiś drant-przydupas, którego gustowny poliestrowy krawat jasno wskazywał czym może być przydupasem, na pewno doktoryzował się na jakieś politologii albo innej europeistyce.

Grzybek, zgodnie ze starodawnym uniwersyteckim rytuałem olał dranta, machnął ręką profesorom z Dupy Wysranych i skłonił się przed dziekanami. Oczywiście nie zaskoczyło go zachowanie dziekana Bombiny, który po chwili badania przejrzystości trunku w porwanej ze stołu butelce rzucił:

- Panie Grzywacki, weź pan wódki nalej, a nie stój jak jakaś wandejska ciota z kijem od miętły w dupie.

Prostowanie nazwiska nie miało sensu, za wpis z seminarki mógłby się dzisiaj nazywać nawet Lółtkowski. Rozlał wszystkim, oczywiście poza drantem, który sam sobie nalał, wypił razem z szacownym gronem. Wódka zawierała silne wspomnienie składników, o których zdecydowanie nie należało wspominać podczas produkcji jakichkolwiek produktów spożywczych.

Bombina nadal, ku jego wielkiej radości jechał z dobrze znanego mu szablonu:

- Grzywacki leniu, pewnie znowu nic nie masz i przychodzisz tu oczyma świecić za wpis?

- Panie profesorze, mam już w sumie przemyślane wszystkie rozdziały, przeczytam jeszcze jedną książkę, i całe święta...

- To zajebicie, że nic nie masz.

W tym momencie Grzybek poczuł się dokładnie tak, jak kiedyś, gdy za młodu (ależ był wtedy nieodpowiedzialny) zaciągnął się srumuńskim papierosem. Siła Coriolisa zaczęła być odczuwalna, obraz lekko zaczął się zamazywać. Przecież powinien go

zwyczajnie opierdolić, a nie wyskakiwać z jakimś „zajebicie” – co to w ogóle ma być? Powinien coś odpowiedzieć, udać że wie o co chodzi, ale nawet już przytępawy drant uśmiechał się szyderczo.

Co za pech – pomyślał – po ponad 4 latach studiów połapali się nagle, że uczciwie zdałem jedynie propedeutykę do politologii. Patrzył na twarze z Dupy Wysranych profesorów, na ich oczy, w których skrzyły się iskiereki wykształciuchowego triumfu, na dziekana Manescu, który zaciągał się samundzkim cygarem. Nie, nie mógł się teraz poddać bez walki, karty nadal jeszcze były w grze.

- Panie profesorze, bo z tym egzaminem z Historii Ustroju...

- Na łeb żeś z choinki spadł Grzywacki? Co mnie jakaś historia obchodzi, przecież te przedmioty są tylko po to, żeby odsiać największych idiotów. Projekt jest, jakiś dumny ze środków federalnych, że mogę wysłać kogoś za granicę i zamiast pisać ten magisterski bełkot może się sprawdzić w praktyce. Pan żeś gównem napisał, to Pana wyślemy.

Grzybek odzyskał oddech, znowu Mancalaga miała go w swojej opiece. W sumie, to znów mu się udało, zamiast męczyć się i pisać, pojedzie sobie pewnie do Austro-Węgier, pozwiedza tamtejsze sądy, wygłosi jakiś referacik i będzie cacy.

- Idź Pan do pani Basi w sekretariacie, dostaniesz papierki delegacji i et cetera, a potem już z górki, polecisz do Sarmacji i przywieziesz nam do wydziału kamień art. 5.

Drant wybuchnął chłopskim, głupkowskim śmiechem, dziekan Manescu udał, że niesamowicie zaintrygował go 17 tom „Erudycji” autorstwa Larka Mipy, Sosna przepił ogórka kresowego wodą z wiadra. No tak, pięknie kurwa, nawet mnie uczciwie wypierdolić nie chcą – pomyślał Grzybowski.

- A, kamień masz przywieźć do 10 kwietnia. Najpóźniej. A w ogóle panie profesorze Sosna, ja rozumiem, że ten wasz drant wygląda jak osioł i ryczy jak prosię, ale na przyszłość zamiast siedzieć u mnie w kanciapie, niechże lepiej sprawdza czy nie ma go aby w toalecie.

- No, tak to pokrótce było – skończył opowieść Grzybek. Wróciła znowu niezręczna cisza, słychać było jak mucha starannie wyciera nogi o masło. W końcu ciszę przerwał Siwy, uczelniana dusza towarzystwa, który studiował na Putrze już tak długo, że podobno pamiętał czasy kiedy to Nani był adiunktem.

- O kurwa.

6 kwietnia 2012

Natura zdawała się krzyczeć wszystkimi siłami – Grzybowski nie jedź do Sarmacji! Słońce ukryte było głęboko w chmurach, niczym jedzenie na dworze Księcia Aleksandra za czasów BRC, deszcz walił z całych sił, nie oszczędzając skacowanego Grzybka, a psie gówna same pchały się pod podeszwę.

Do tej pory o 5 rano, owszem, zdarzało mu się, ale nie wstawać tylko iść spać. Ale przynajmniej w końcu zrozumiał dla kogo kursują nocne pociągi, o tej porze wsiadała do nich chyba tylko cała ta szpiegowska hałastrą i handlarze jajek. Tak czy siak, o 19 musiał być w Wiedniu – sekretariat wśród licznych świstków zapewnił mu austro-węgierski paszport wystawiony na Fryderyka Grzybowskiego. Kurwa, przynajmniej raz w życiu miał w miarę normalne imię.

Skład Volkswagona, który z wielkim wysiłkiem zajechał na stację, nie pozostawiał żadnych złudzeń, w zasadzie dziwne, że w drzwiach nie stali celnicy w mundurach BRC, sprawdzający czy aby podróżni nie wnoszą do środka jedzenia albo dewizy. Jednak kapitalizm zmienił jedno – zamiast 10 pustych wagonów pociąg liczył ledwie dwa, za to całkiem pełne.

Prometeusz vel Fryderyk pomógł podstarzałemu konduktorowi mocującemu się z drzwiami i wszedł do środka. Tutaj również padał deszcz, ale zamiast ulewy była to zaledwie przelotna mżawka, spływająca ostatecznie jako malutki strumyczek wprost do dziury wywierconej na wysokości czwartego przedziału. Wielką zaletą składu było to, że przynajmniej wszystkie szczury już dawno pouciekały.

Po krótkich poszukiwaniach udało mu się znaleźć całkiem pusty przedział, tuż za lokomotywą. Na mokrym siedzeniu rozłożył przezornie wzięty worek na śmieci, nad sobą rozłożył parasol, a na drzwiach przedziału, dla świętego spokoju, wywiesił kartkę „przedział dla niepalących”. Zdecydowanie nie potrzebował dzisiaj żadnego towarzystwa.

Teraz mógł w spokoju przejrzeć otrzymane papiery, bo w akademiku zrobił to bardzo pobieżnie i w dodatku po pijaku. Oprócz kompletu wszelkich dokumentów wystawionych na Fryderyka Grzybowskiego znalazł całą stertę listów uwierzytelniających, podpisanych o dziwo nie tylko przez dziekana Bombinę, ale również różnych obcokrajowców, parę pism podpisał nawet jakiś sarmacki minister. A, i oczywiście bilet na erste klasse połączenia Wiedeń – Srebrny Róg Luftwafle.

Większą uwagę przykuwała mała siateczka, którą jak powiedziała pani Basia, dorzucił od siebie sam dziekan. Okazało się, że zawierała klucze do podstarzałego Mercedesa wraz z dowodem rejestracyjnym (z którego wynikało, iż samochód został w dniu 19 grudnia 2009 zarejestrowany na jakieś austro-węgierskie GmbH) oraz platynową kartę kredytową na okaziciela – obie te rzeczy nie zdziwiły Grzybka,

w końcu po wydziale krążyły legendy o majątku jaki dziekan zostawił pośpiesznie wyjeżdżając z okupowanej Teutonii.

No, teraz mógł przejść do lektury ksera z jakiegoś skryptu, który znalazł w latającej bibliotece wydziału. Nazwa biblioteki wzięła się oczywiście nie od jej paranormalnego zachowania, ale od równie paranormalnego remontu budynków wydziału, który trwał już tak długo, że nikt nie pamiętał co już wyremontowano a co jeszcze nie. W każdym razie biblioteka rozpieprzona była po licznych pomieszczeniach, które dodatkowo z dnia na dzień były zmieniane.

„Kamień art. 5 to potężny artefakt, który to powstał, kiedy diuk Kościński opuszczając Cyberię rzucił straszną klątwę na tamtejszych urzędników. Kamień sprawia, iż wszyscy sędziowie kraju w którym się znajduje piszą turbochujowe, bliskie belkotu, uzasadnienia. Niestety dla diuka, jego klątwa została przełamana, gdyż Sarmacja z ogromną chęcią przejęła kamień, jako że tamtejsi sędziowie nie potrafili pisać żadnych uzasadnień. Nie wiadomo gdzie kamień jest przechowywany, nie wiele wiemy też o jego wyglądzie, poza tym, iż podobno jest chłopsko-robotniczy”.

Chłopsko-robotniczy, kurwa. Jak kamień może mieć chłopsko robotniczy wygląd, widły z młotem ma narysowane czy jak? – pomyślał Grzybek – No nic, to jest problem na później, a póki co czeka mnie fascynująca, trzynastogodzinna podróż, w trakcie której przemierzę może z 400 kilometrów. Za oknem przewijał się poranny, skacowany krajobraz, aczkolwiek przewijał się, to chyba nie najlepsze słowo, albowiem kojarzy się z procesem szybszym od normalnego. Ten krajobraz to się raczej pauzował za oknem.

* * *

- Biletung do kontrrol – rzucił z rakuskim akcentem konduktor. No tak, zadbane kamieniczki rozpościerające się za oknem wskazywały, że to już przedmieścia Wiednia. Wprawdzie Rakuzi już od wielu lat odgrązali się, że nie będą przepuszczać przez granicę rozpadających się składów Volkswagona, jednakże składy nadal jeździły. W ogóle Austro-Węgry miały specyficzny stosunek wobec Ciprofloksji, wynikający najprawdopodobniej z jakiś łózkowych romansów pomiędzy ich a srumuńskimi włodarzami.

- Herr österreichischen Bauern, bitte hier ist meine Ticket – rzucił grzecznie Grzybek swoim nienagannym rakuskim.

- Edler Herr, ich wünsche Ihnen einen angenehmen Aufenthalt in Wien – zsalutował wypięty konduktor.

Z trudem, bo z trudem, ale skład Volkswagona dotarł w końcu na wiedeński Westbahnhof. Grzybek miał jeszcze godzinę by znaleźć się na odprawie Luftwafle, także spokojnie udał się do pobliskiego sklepu kupić tutejsze Brötchen, Butter und

Wurst – niestety ciprofloksjański prowiant w całości skonsumował już podczas podróży pociągiem.

Zaopatrzywszy się w wzmiankowane rakuskie produkty, machnął ręką na przejeżdżającą taryfę, wręczył kierowcy swoje walizki i wyjaśnił:

- Ein guter Bauer, laden Sie bitte mein Gepäck und nehmen Sie mich schnell an die Lufwafle-Terminal.

Niestety infrastruktura wiedeńska była już na tyle rozwinięta, że zamiast podziwiać stare miasto, w trakcie szybkiego przejazdu Grzybek mógł jedynie przyglądać się z zazdrością pięknej sieci wielopasmowych dróg.

Odprawa poszła szybko i gładko, jako że występował już jako obywatel austriacki Fryderyk. Samolot wylatywał punktualnie o 21, a w Srebrnym Rogu lądował koło 5 rano. Te poranne wstawania wkurwiały już dokumentnie Fryderyka, ale czego się nie robi żeby zostać magistrem prawa. Przynajmniej fotele były duże i wygodne, w końcu można było odespać zaległe, nieprzespane godziny. A rano znowu poszukiwania tego pieprzonego, chłopsko-robotniczego kamienia.

7 kwietnia 2012

Lądowanie było naprawdę twarde, ale ostatecznie udane. Pierwsze co Grzybek spostrzegł przez okno samolotu Luftwafle to zadziwiająco mało światła, szczególnie jak na metropolię pokroju Srebrnego Rogu. Poza ogromnym pałacem oświetlone było zaledwie parę budynków i dwie, trzy ulice. Jako że Prometeusz w swoim krótkim, acz barwnym życiu w Teutoni był po raz pierwszy, sytuacja ta stanowiła dla niego pewne zaskoczenie.

Jeszcze większym szokiem była kontrola jakiej na lotnisku dokonywali umundurowani prefekci, na szczęście – jako obywatel austro-węgierski został sprawdzony bardzo pobieżnie, pozwolił sobie również podziękować dowódcy oddziału za sprawną i szybką kontrolę:

- Du verdammter Schwanz gebrochen, ficken einen Baum.
- Yes, sir! – odpowiedział dumny z siebie prefekt-poliglota.

Jednak prawdziwy szok przeżył dopiero wychodząc z budynku lotniska. Dookoła rozpościerał się obraz prawdziwej apokalipsy, dziurawe drogi, ciemne odrapane budynki, liczne ślady bombardowania i maszerujące po całej okolicy złowieszcze oddziały czarno umundurowanej prefektury. O odpowiedni kontrast dbały zadbane pomniki namiestnika Lichtensteina obejmowanego czule ojcowską ręką przez księcia Sarmacji Piotra Grzegorza.

Grzybowski wprawdzie miał kiedyś jakiś wykład z gatunku michałków, na którym była również mowa o okupacji Teutoni, ale nigdy nie spodziewałby się, że rzeczywistość jest aż tak brutalna – lepiej było przecież nawet za czasów BRC, kiedy to krajem rządziła srumuńska klika.

Trzeba było wziąć się w garść i znaleźć garaż z Mercedesem Bombiny. Jak wynikało z dołączonych notatek mieścił on się gdzieś na ulicy Przyjaźni Sarmacko-Teutońskiej, czyli całkiem niedaleko – wystarczyło przejść kawałek Namiestnikowską, skręcić w Diuka Lichtensteina, potem kawałek brukowaną Wyzwoliciele Lichtensteina i tuż za placem Namiestnika Lichtensteina zaczynała się Przyjaźń.

Oczywiście, jeżeli było się rdzennym Cipkiem, a w dodatku studentem dziekana Bombiny, nawet jeśli miało się rakuskie papiery to nonszalanckie spacerowanie po Srebrnym nie było pomysłem roku. Trzeba było albo przemykać uliczkami i kryć się niczym gelloński soldat, albo też działać beczelnie. Oczywiście Grzybek preferował drugą możliwość.

Wrócił do budynku lotniska, wszedł do toalety dla niepełnosprawnych, zdjął swoją podróżną odzież ubierając w jej miejsce swój najlepszy garnitur. Zawiązał zakardowy, jedwabny krawat na idealnego shelbiego, starannie złożył poszetkę i zakręcił wąsy na rakuską modę. Teraz był już gotowy do przejścia przez ulice okupowanej Teutoni.

Już na Wyzwoliciele Lichtensteina dopierdolił się do niego smutny patrol prefektury. Mało bystry prefekt, prezentując swoją nikczemną posturę w całej krasie zaczął ostro:

- Dokumenty do kontroli, zgoda Namiestnika na poruszanie się w godzinach nocnych!

- Verpiss dich, du Schwein – odparł grzecznie po rakusku Grzybek i pokazał swój austro-węgierski paszport.

- A, obcokrajowiec! Yes sir! Najmocniej przepraszam yes sir! – szybko powiedział wystraszony mundurowy.

- Yes sir, yes sir! – dodał na wszelki wypadek drugi prefekt.

Bez kolejnych przygód Prometeusz znalazł garaż, z jak się okazało całkiem zadbanym i luksusowo wykończonym Mercedesem. Dodatkowo, ku jego wielkiej radości, na siedzeniu kierowcy leżał pęk kluczy wraz z adresem – Obrońcy Piotra Mikołaja 17. Samochód pomimo długiego postoju gładko zapalił, lecz niestety nawigacja była obecnie średnio przydatna – opierała się jeszcze na starych, przedokupacyjnych nazwach ulic. Po przejrzeniu ściągawki dostarczonej przez sekretariat Grzybek wpisał dawną nazwę ulicy, tj. Szambiarzy 17.

Pomimo pustych dróg przejazd przez Srebrny Róg zajął ponad godzinę, niełatane drogi, naznaczone śladami sarmackich tanków uniemożliwiały szybką podróż. Przynajmniej prefektura widząc austro-węgierskie blachy jego S-klasse wołała skupić się na nielicznych Silverhornach z lat 90, którymi poruszali się co zamożniejszy Teutończycy.

Dom na Szambiarzy vel Piotra Mikołaja 17 okazał się luksusową rezydencją, co ważne naprawioną już z wojennych zniszczeń. Jedynie zapuszczony ogród wskazywał na to, że brakuje tutaj jakiegokolwiek gospodarza. Godzina była jeszcze wczesna, więc Grzybek postanowił przetestować sypialnię.

* * *

Restauracja nie przyznawała się do okupanckiej biedy panującej za jej drzwiami. Bogaty wystrój w stylu późnego Daniela robił wrażenie na wszystkich przyjezdnych, gustownie ubrani kelnerzy krzatali się roznosząc wykwintne dania. Grzybek miał pewne wątpliwości, czy dziekan Bombina dał mu platynową kartę z myślą o takich właśnie wydatkach, ale z drugiej strony – z pustym żołądkiem ciężko znaleźć cokolwiek, a szczególnie starożytny artefakt.

Wątpliwości rozwiały się całkowicie, gdy na stole pojawiły się zamówione potrawy, czyli zupa szpinakowa, krewetki królewskie, wątróbki z dorsza i cała reszta towarzyszących im elementów. Elegancko ubrany Prometeusz wyróżniał się pośród niewielkich urzędników sarmackich i przykuwał uwagę miejscowych dziewczyn, które

chcąc się wyrwać z sarmacko-teutońskiej biedy polowały na importowanych biznesmenów.

* * *

Grzybowski ewidentnie był już, nazwijmy to delikatnie, w mocno świątecznym nastroju. W sumie to wisiało mu już na całej linii czy faktycznie tańczy do tej muzyki która leci, ważne, że trzymał się jeszcze w pionie, co chyba strasznie imponowało poznanej podczas obiadu sarmackiej dziewczynie. Zresztą w tym tańczeniu nie chodziło przecież o tańczenie, i chyba nikomu w lokalu nie przeszkadzała mocno odczuwalna siła ciężenia.

Nawet jeśli nie znajdę dzisiaj kamienia, to noc zapowiada się na bardzo udaną – pomyślał Grzybek i szczerze się uśmiechając zaprezentował dziewczęciu rzadko spotykany w Sarmacji pełny garnitur zębów. W końcu są rzeczy ciekawsze od prawa, tym bardziej, że tytuł magistra to przecież nie gelloński żołdat, nie będzie uciekać.

8 kwietnia 2012

Monotonne dudnienie rozsadzało głowę Grzybka. Niewątpliwie jacyś jebani robole nakurwiali jakimś ciężkim sprzętem, budząc wszystkich ludzi śpiących jeszcze na Szambiarzy. Trzeba było coś w końcu z tym zrobić, Grzybek odrzucił leżącą nań rękę dziewczyny i wstał szukać źródła hałasu. Jebanymi robotami okazał się kuchenny zegar naścienny, który natychmiast rozbroił wybebeszając zeń baterie-paluszki.

Zapadła błoga cisza, podobna chyba do tej jeszcze sprzed powstania wszechświata. Grzybowski nachylił się nad zlewem i łapczywie napił się zmrożonej, orzeźwiającej kranówki. Jego przegrzany i zarżnięty mózg gorączkowo starał się skleić jakiś logiczny ciąg zdarzeń na podstawie paru zamazanych screenshotów zachowanych gdzieś w odmętach pamięci. No kurwa, kamienia to na pewno wczoraj nie znalazłem – pomyślał.

W tym momencie rozważania Prometeusza zostały przerwane, młoda dziewczyna, obciśle owinięta cienkim prześcieradłem, stanęła w drzwiach kuchennych i zalotnie oparła swoją bosą stópkę o framugę. Trzeba było przyznać, że pomimo lekkiego alkoholowego zatrucia nadal wyglądała ślicznie.

- Jak ty się w ogóle nazywasz? – spytał po gentelmeńsku ciężko skacowany Grzybek.
- Ania, Promciu – roześmiała się i podbiegła złożyć mu bardzo namiętny pocałunek.
- Promciu, a czym ty się zajmujesz w Srebrnym Rogu? – spytała słodko intonując.
- Jestem prawnikiem w Ziegen-Anwaltskanzlei GmbH i reprezentuję tutaj jednego z naszych mandantów – rzucił niedbale, bajer na prawnika zawsze działał bezbłędnie.
- Mój tato też jest prawnikiem – ożywiła się dziewczyna – wydaje wyroki w sądzie!
- To musi być bardzo trudna praca – Grzybek pomimo kaca wyczuł okazję i zarzucił przynętę.

- Tato mówi, że pierwszy miesiąc szkolenia na prawnika był trudny, ale drugi był już całkiem fajny. Bardzo ciepło wspomina ludzi, których poznał na Akademii Duracza.

- Jeju, pisanie tych uzasadnień to musi być strasznie męczące – kontynuował udając idiotę.

- Wcale nie – roześmiała się – mają w sekretariacie taki kawałek betonu, pod który wsadza się wyrok wraz pustą kartką i po chwili jest już napisane.

- Nie boją się, że ktoś ten kamień ukradnie?

- Promciu, to przecież sekret! Jak mogą chcieć ukraść coś o czym nikt nie wie?

Grzybowski szybko przenalizował sprawę, obliczył ile ma czasu, zaplanował cały proces logistyczny.

- Dobra Kasiu, chodź jeszcze się zabawimy i odwiozę cię do domu. Mam jeszcze dużo pracy na dzisiaj – wyjaśnił udając zakłopotanie.

- Aniu! – zrobiła udawaną obrażoną minkę i pomknęła do sypialni.

* * *

Grzybek szykował się do jutrzejszej akcji. Żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń gotówkę wybrał wcześniej w bankomacie i rozmienił na bilon i dyszki w spożywczaku, tłumacząc teutońskiej właścicielce, iż idzie załatwić kontrakt dla swojego GmbH i potrzebne mu są jakieś drobne pominki dla Namiestnika.

Oczywiście drobne były potrzebne zupełnie do czego innego. Dla pewności Mercedesa zostawił parę ulic wcześniej i ostatnie 700 metrów pokonał na piechotę, a kiedy stanął już u wrót Tesko upewnił się czy aby nie jest śledzony i dla większego efektu zapalił taniego, mocnego papierosa bez filtra.

Dział odzieżowy sprostął jego oczekiwaniom, po krótkich poszukiwaniach znalazł niebieski garnitur w rozmiarze XXL, będący zbyt duży nawet dla osoby jego wzrostu. Komplet uzupełnił gustowną, świecąca się jak psu jajca, szarosrebrną koszulą oraz pudełkiem z trzema zawiązanymi krawatami rozmiaru M. Butów nie kupował gdyż wyruszając z Ciprofloksji przezornie spakował czarne, skórzane adidas.

Przy kasie, zanim położył towar na taśmę, poprosił jeszcze o dwukrotne sprawdzenie, czy ten komplet, bo wie pani, będę świadkiem na ślubie, faktycznie kosztuje 370 libertów. Wysypał przed kasjerkę stertę drobnych prosząc o policzenie, z dobrze udawanym niedowierzaniem dołożył brakujące 17 libertów i zapakował całość do sklepowej, plastikowej siatki.

Okrężną drogą wrócił do samochodu, wyrzucił zostawiony za szybą mandat i pojechał na Szambiarzy – dzisiaj nie było już miejsca na żadne imprezy, Kasie czy Anie, jutro należało być w wyśmienitej formie.

9 kwietnia 2012

Mercedesa zostawił 50 metrów od sądu. Przedwojenny teutoński gmach pomimo pozabijanych deskami okien i licznych sarmackich fresków naściennych (Grodzisk Pany!) nadal robił wrażenie. Prometeusz przejrzał się w witrynie sklepowej, upewniając się, że wszystkie guziki są dokładnie pozapinane, natomiast klapy schowane w kieszeniach, a zauważywszy przyglądającego się mu ciecia schylił się i z namaszczeniem przetarł adidasą zużytą chusteczką jednorazową.

Cieć skinął głową i pomachał mu ręką na przywitanie.

- Dzień dobry panie asesorze!
- Dzień dobry, sprawy odbywają się dzisiaj zgodnie z wokandą?
- Poza sprawą cywilną z oskarżenia Puby Kakulskiego nie ma żadnych poślizgów, wie Pan, sąd ma problem ustalić o co temu człowiekowi znowu chodzi.
- Z nim to tak zawsze jest, ja na szczęście dzisiaj mam tylko pozwy karne.
- A, to u Pana wszystko w planie.
- Dziękuję, miłego dnia!

Nikt z pracowników sądu nie zwracał uwagi na Grzybka, który pewnym krokiem wstąpił do sekretariatu i podmienił leżący na czerwonej poduszeczce kawałek betonu na porwaną z biurka kanapkę z pasztetem. Nie było czasu na badanie zdobyczy, wsadził więc ją do kieszeni marynarki i pośpiesznie opuścił sekretariat.

Nie zdążył nawet zejść na parter, gdy w budynku rozległ się dźwięk przedwojennej korbkowej syreny, a na korytarze zaczęli wyskakiwać prefekci i wystraszeni pracownicy sądu. Teraz, kiedy poszukiwano intruza, wszyscy patrzyli na Grzybowskiego, którego zdradzał najpewniej ponadprzeciętny wzrost, by po paru sekundach bez żadnego rozkazu rzucić się w jego kierunku.

Prometeusz skoczył na znajdujące się obok okno i razem z zasłaniającą je tekturą wyleciał na schody przed wejściem do budynku. Szczęśliwie tektura złagodziła upadek, za to mniej szczęśliwie również i tutaj kręcili się prefekci. Grzybek pobił olimpijski rekord w biegu na 50 metrów z otwieraniem samochodu, przekręcił szybko kluczyk w stacyjce i gwałtownie ruszył taranując najszybszych prefektów.

Niestety, we wstecznym lusterku wypatrzył kolejnych prefektów mknących na rowerach, co na srebrnoroskich ulicach dawało im sporą przewagę – Mercedes Bombiny, wyposażony wprawdzie w 5 litrowe V8, nie był ani samochodem terenowym, ani tym bardziej jakże w tej chwili potrzebnym księżycowym łązikiem. Cykliści-prefekci zgrabnie mijali dziury i leje po bombach, podczas gdy Mercedes pomimo starań Grzybka nieustannie rył zawieszeniem o wystające resztki przedwojennej drogi.

Szczęśliwie na horyzoncie pojawiła się, wyremontowana przez wojska sarmackie, obwodnica wiodąca na lotnisko. Grzybek gwałtownie skręcił taranując najbardziej wysportowanego prefekta i zostawiając za sobą większość układu wydechowego przedarł się przez ostatnie 100 metrów wilczych dołów. Na podmiejskiej obwodnicy, mimo listy errorów jakimi wariujący pokładowy komputer bombardował wyświetlacz, samochód w paręnaście sekund rozpędził się do ponad 200 kilometrów, zostawiając pościg daleko w tyle.

Dwie minuty później, Grzybowski z piskiem opon zajechał na płytę rozpadającego się lotniska. W trosce o prawo własności dziekana Bombiny wysiadając z wozu rozpruł jeszcze stacyjkę i powyrywał losowe kabelki. Oprócz rzadkich liniowych lotów na lotnisku można było spotkać też tzw. asów przestworzy, czyli prywatnie latających za żywą gotówkę gdziekolwiek z kimkolwiek.

Pilot jedyne stojącego w hangarze samolotu po krótkim targu zgodził się wykonać rejs do Siemianowic. Silnik ambitnego dwupłatowca, będącego zabytkiem już za czasów formowania Sarmackiej Armii Ludowej, z pewnym niezadowoleniem przyjął starania pilota i ciężko zapalił.

Nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, na płycie lotniska pojawił się radiowóz prefektury, radośnie obwieszczający swoją obecność migając kolorowym kogutem i puszczając obłoczki pary spod maski. Grzybek, widząc minę pilota, wyjął rulonik banknotów, który od razu wsadził do jego kieszeni.

Ryk silnika zagłuszył wszystko, łącznie z drącymi się prefektami, a startujący aeroplan zatrzęsł się konwulsyjnie. Przed oczami Grzybowskiego stanęły wszystkie prasowe doniesienia i zdjęcia trzech pasażerskich samolotów zestrzelonych przez srumieńczyków, publikowane tuż po szczyńskim zamachu. Sam dziekan Bombina prawie przypłacił życiem tamten feralny lot.

Jednak, chyba wbrew prawom fizyki, a już na pewno wbrew zdrowemu rozsądkowi, dwupłat oderwał się od ziemi i sprawnie obrał kierunek na Ciprofloskę. Astronomiczna prędkość osiągnięta przez wyjącą maszynę zapowiadała długi, wielogodzinny lot.

10 kwietnia 2012

Pilot precyzyjnie i z gracją posadził awionetkę na podsiemianowickiej łące. Kiedy zadowolony z siebie Grzybek zbierał się już do opuszczenia maszyny pilot odwrócił się i z godnym gwiazdora filmowego uśmiechem wyjął spluwę.

- Prometeusz, dawaj kamień! Bądź też tak dobry i nie udawaj idioty, to nie jest uniwersytet, tutaj takie sztuczki nie działają.

Nie trzeba być nadzwyczajnie inteligentnym, żeby dojść do wniosku że lepiej być żywym nikim, niż martwym magistrem. Grzybek sięgnął do kieszeni, z której wyjął zawiniątko w jedwabiu i wręczył je pilotowi. Ten szybko sprawdził zawartość, a następnie pobiegł do niedalekiego hangaru, aby odjechać z piskiem opon Cipką-Q.

Szczęśliwie nie wszyscy znali akademickie zwyczaje i nie wszyscy wiedzieli, że najcenniejsze rzeczy trzyma się na dnie plecaka, zawinięte w niepraną skarpetkę. Aczkolwiek, ten czarny kamień, kupiony od sarmackiego handlarza staroci za paręnaście libertów, być może również sprawi nowemu właścicielowi mnóstwo rozrywki. Ale i tak szkoda – pomyślał Grzybek – idealnie nadawałby się jako przycisk do papieru.

* * *

Profesor Bombina założył okulary i ostrożnie położył kamień na kartce papieru. Z namaszczeniem wypowiedział formułkę:

- Odrzucone powództwo o bezpodstawne wzbogacenie!

Beton kamienia zalśnił zieloną poświatą, na kartce zaczęły powolutku pojawiać się najpierw litery, a potem całe wyrazy i zdania. Grzybek wraz z profesorem spojrzeli na początek tekstu.

Oskarżony odnosząc się do powództwa powołał się na zapisy ustawy z dnia...

- No Grzywacki, udało ci się, to musi być prawdziwy kamień.